



Henryk Sienkiewicz

Janko muzykant



Kharkiv
«Folio»
2022

STARY SŁUGA

O bok starych ekonomów, karbowych i leśników, drugim typem, niknącym coraz bardziej z powierzchni ziemi, jest stary sługa. Pamiętam za czasów mego dzieciństwa służył u rodziców moich jeden z tych mamutów, po których wkrótce tylko kości na starych cmentarzyskach, w pokładach grubo zasypanych niepaamięcią, od czasu do czasu będą badacze odgrzebywali. Nazywał się Mikołaj Suchowolski, był zaś szlachcicem ze wsi szlacheckiej Suchej Woli, którą często w gawędach swych wspominał. Ojciec mój odziedziczył go po ś. p. rodzicu swoim, przy którym za czasów Napoleońskich wojen był ordynansem. Kiedy w służbę do dziada mego nastał, sam nie pamiętał ściśle, a zapytany o datę, zażywał tabaki i odpowiadał.

— Ta, byłem jeszcze gołowąsem, a i pan pułkownik, Panie świeć nad jego duszą, jeszcze koszulę w zębach nosił.

W domu rodziców moich pełnił najrozmaitsze obowiązki: był kredencierzem, lokajem; latem w roli ekonomy chodził do żniwa, zimą do młocarni, posiadał klucze od składu wódczanego, od piwnic, od lamusu; nakręcał zegary, ale przedewszystkiēm zrzędził.

Człowieka tego nie pamiętam inaczej, jak mrużącego. Mruczał na ojca mego, na matkę: ja bałem się go jak ognia, choć go lubiłem; w kuchni wyrabiał brewerye z kucharzem, chłopaków kredensowych ciągnął za uszy po całym domu i nigdy z niczego nie był kontent. Kiedy zapruszył głowę, co stale zdarzało się co tydzień, omijali go wszyscy, nie dlatego, żeby pozwalał sobie robić burdy z panem lub panią, ale że jak się do kogo przyczepił, to chodził za nim choćby przez cały dzień, kawęcząc i gderając bez końca. W czasie obiadu stawał za krzesłem ojca i choć sam nie posługiwał, ale doglądał posługującego chłopca i zatruwał mu życie ze szczególniejszą passją.

— Oglądaj się, oglądaj — mruzczał — to ja ci się obejrzę. Patrzcie go! nie może duchem usługiwać, tylko będzie nogami włóczył, jak stara krowa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz. On nie słyszy, że go pan woła. Zmień pani taléř. Czego gębę otwierasz? co? Widzicie go! przypatrzcie mu się!

Do rozmowy prowadzonej przy stole stale się wtrącał i stale był wszystkiemu przeciwny. Nieraz bywało, ojciec odwrócił się przy stole i mówi:

— Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby założył konie: pojedziemy tam a tam.

A Mikołaj:

— Jechać? dlaczego nie jechać. Oj jej! Abo to konie nie od tego. A niech-ta koniska nogi połamią na takiéj drodze. Jak z wizytą, to z wizytą. Przecie państwu wolno. Czy ja bronię? Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza.

— Utrapienie z tym Mikołajem! — wykrzyknął, bywało czasem, zniecierpliwiony mój ojciec.

A Mikołaj znowu:

— Czy ja powiadam, zem nie głupi. Ja wiem, że ja głupi. Ekonom pojechał na zaloty do księżéj gospodyni z Niewodowa, a państwoby nie mieli jechać na wizytę? Albo to wizyta gorsza od księżéj gospodyni? Wolno słuǳe, wolno i panu.

I tak szło już w kółku bez sposobu zatrzymania starego marudy.

My, to jest ja i brat mój młodszy, baliśmy się go, jak wspominałem, prawie więcej niż naszego guwernera, księdza Ludwika, a z pewnością więcej niż obojga rodziców. Dla sióstr był grzeczniejszy. Mawiał każdej „panienka“, choć były młodsze, ale nas tykał bez ceremonii. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok: oto nosił zawsze kapiszony w kieszeni. Nieraz bywało po lekcjach, wchodzę nieśmiało do kredensu, uśmieciam się jak mogę najgrzeczniej, przymilam jak najuprzejmiej i nieśmiało mówię:

— Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi. Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń?

— Czego Henryś tu chce? Ścierkę przypaszę i basta.

A potem przedrzeźniając mnie, mówił:

— Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony, to Mikołaj dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiejbyś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

— Ja już skończyłem lekcye — odpowiadam nawpół z płaczem.

— Skończył lekcye. Hę! skończył. Uczy się, uczy, a głowa jak pusty tornister. Nie dam i kwita. (To mówiąc szukał już po kieszeniach.) Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc, szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je, zapewniał jeszcze sto razy że się to wszystko na licha nie zdało; potem zapalał świecę, nakładał piston na panewkę i dawał mi mierzyć, a wtedy nieraz jeszcze miałem ciężki krzyż do zniesienia.

— Jak onto ten pistolet trzyma — mówił — jak cyrulik s.... gę. Gdzie tobie świece gasić, chyba jak dziadowi w kościele. Na księdza ci iść, zdrowaśki odmawiać, ale nie być żołnierzem.

Swoją drogą uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Często po obiedzie ja i mój brat uczyliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego z pod oka, a potem choć jego jednego najwięcej bał się i szanował, nie mógł przecie wytrzymać i mówił:

— Eh kiedy to jegomość akurat tak maszeruje jak stara krowa.

Ja jako najstarszy, najbardziej byłem pod jego komendą najwięcej też cierpiałem. Swoją drogą stary Mikołaisko, gdy oddawano mnie do szkół, buczał tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potem jeszcze bardziej stetryczał i nudził ich ze dwa tygodnie: „Wzięli dziecko i wywieźli, mówił. A niechta umrze! Uu! u! A jemu poco szkoły. Aboto on nie dziedzic. Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wykierować. Co to za rozpusta! Pojechało dziecko i pojechało, a ty stary łaż po kątach i szukaj czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało“.

Pamiętam, gdym pierwszy raz przyjechał na święta, spali wszyscy jeszcze w domu. Jakoś dopiero dniało: ranek był zimowy, śnieżny. Ciszę przerywało skrzypienie żórawia od

studni na folwarku i szczekanie psów. Okiennice w domu były pozamykane, tylko okna w kuchni gorzały jasnym światłem, barwiącym na różowo śnieg leżący pod przyźbą. Zajeżdżam tedy smutny, zmartwiony i ze strachem w duszy, bo pierwszą cenzurę miałem wcale nieszczególną. Ot poprostu, nimem się opatrzył, nim przywykłem do rutyny i karności szkolnej, nie umiałem sobie dać rady. Bałem się więc ojca, bałem się surowej milczącej miny księdza Ludwika, który mnie przywiózł z Warszawy. Znikąd tedy otuchy, aż tu patrzę, otwierają się drzwi od kuchni i stary Mikołaj, z nosem zaczerwienionym od zimna, brnie po śniegu z garnuszkami dymiącej śmietanki na tacy.

Gdy mnie zobaczył: „paniczku złoty najdroższy!” Jak krzyknie i, stawiając szybko tackę, przewraca oba garnuszki, łapie mnie za szyję i poczyna ścisnąć i całować. Odtąd zawsze mnie już tytułował paniczem.

Swoją drogą, przez całe dwa tygodnie nie mógł potem darować mi téj śmietanki: „człowiek niósł sobie spokojnie śmietankę, mówił, a on zajeżdża. Akurat sobie czas wybrał...” i t. d.

Ojciec chciał, a przynajmniej obiecywał mi dać w skórę, za dwa mierne z kaligrafii i z niemieckiego jakie z sobą przyniosłem; ale z jednej strony moje łzy i przyrzeczenia poprawy, z drugiej interwencja mojej słodkiej matki, a nakoniec awantury, jakie wyrabiał Mikołaj, stanęły temu na przeszkodzie! Mikołaj o kaligrafii nie wiedział coby to było za stworzenie, a o karze za niemiecki ani chciał słyszeć.

— A cóżto, on luter jest, czy szwab jaki — mówił. — Albo to pan pułkownik umiał po niemiecku? albo to pan sam (tu zwracał się do mojego ojca) umieć? co? Jakaśmy spotkali Niemców pod... jakże się nazywa? pod Lipskiem i dyabeł wie nie gdzie, tośmy, pada, nic nie mówili do nich po niemiecku, tylko, pada, to pada, zaraz pokazali nam grzbiety i, pada, tyle.

Stary Mikołajsko miał jeszcze jedne właściwość. Rzadko się rozgadywał o dawnych swoich wyprawach, ale gdy w szczególnych chwilach dobrego humoru się rozgadał, to kłamał jak najęty. Nie czynił tego ze złą wiarą; może w staréj głowie fakta mieszały się mu jedne z drugimi i rosły aż do

fantastyczności. Co gdzie usłyszał o wojennych przygodach za czasów lat swych młodych, stosował to do siebie i do dziada mego pułkownika, a święcie sam wierzył w to, co opowiadał. Nieraz w stodole, pilnując pańszczyźniaków młócących zboże, jak im zaczął rozprawiać, to chłopci zawieszali robotę i poopierawszy się na cepach, słuchali z porozdziawianymi ustami jego opowiadań. To się, bywało, spostrzegł i w krzyk:

— Czegożeście wytrychtowali na mnie gęby jak armaty, co?

I znowu łupu! cupu! łupu! cupu! Słychać było przez jakiś czas odgłos cepów uderzających o słomę; stary milczał, ale po chwili zaczynał:

— Pisze mi mój syn, że właśnie został generałem u królowej Palmiry. Dobrze mu tam jest, pada, żołąd, pada, bierze wysocki, tylko, pada, że mrozy ogromne panują... i t. d.

Mówiąc nawiasem, dzieci nie udały się staremu. Syna miał istotnie, ale był to wielki nicpoń, który doszedłszy lat, nabroił Bóg wie co, a wreszcie poszedł w świat i znikł gdzieś bez śladu; córka zaś jego, swego czasu podobno cud dziewczyna, bałamuciła się ze wszystkimi oficyalistami, jacy tylko byli we wsi i wreszcie, wydawszy na świat córkę, umarła. Córka ta zwała się Hania. Była to moja rówieśnica, śliczna, ale słabowita dziewczynka. Nieraz, pamiętam, bawiliśmy się razem w żołnierze: Hania bywała doboszem, a pokrzywy naszymi nieprzyjaciołmi. Dobra była i łagodna jak anioł. Czekala ją także ciężka dola w świecie, ale to są już wspomnienia, które do rzeczy nie należą.

Wracam tedy do opowiadań starego. Sam słyszałem go opowiadającego, że jak raz rozhukały się konie ułanom w Marympolu, to ośmnaście tysięcy ich wpadło raptem przez rogatki do Warszawy. Ilu ludzi natratowały! co to był za sądny dzień nim je połapano, łatwo sobie wyobrazić. Drugi raz opowiadał, ale to już nie w stodole, tylko nam wszystkim we dworze, co następuje:

— Czy się dobrze biłem? co się nie miałem dobrze bić. Raz pamiętam, była wojna z Austryakiem. Stoję ja sobie w szeregu, no! w szeregu, mówię, aż tu podjeżdża do mnie naczelnny wódz, niby chce powiedzieć, od Austryaków, od strony przeciwniej i pada: „Ej ty Suchowolski, znam ja ciebie! żebyśmy, pada, ciebie złapali, tobyśmy, pada, i całą wojnę skończyli“.

— A o pułkowniku nie wspomniał? — zapytał mój ojciec.
— A jakże! przecie wyraźnie mówiłem, że, pada, ciebie z pułkownikiem.

Ksiądz Ludwik się zniecierpliwił i rzekł:

— Ależ ty, Mikołaju, łzesz, jakbyś osobny żołd za to pobierał.

Stary nachmurzył się i byłby się oburknął, ale, że ksiądz bał się i poważał, więc milczał, a po chwili, chcąc jakoś załagodzić sprawę, mówił dalej:

— To samo mi powiedział i ksiądz Sieklucki, kapelan. Jak raz dostałem od Austryjaka bagnetem pod dwudzieste, chciałem powiedzieć pod piątę żebro, było ze mną źle. Ha! myślę, trzeba umrzeć, spowiadam się więc Panu Bogu Wszechmogącemu z moich grzechów przed księdzem Siekluckim, a ksiądz Sieklucki słucha, słucha, a wkońcu powiada: «Bój się Boga, Mikołaju, pada: taćżeś ty wszystko zełgał!» A ja mu na to: «Może być, ale sobie więcej nie przypominam».

— I wyleczyli cię?

— Wyleczyli, wyleczyli! Co mnie mieli wyleczyć! Ja sam się wykurowałem. Jak raz nie rozmieszam dwóch nabojów prochu w kwaterce wódki, jak nie łyknę na noc, tak na drugi dzień wstałem zdrów, jak ryba.

Byłbym więcej nasłuchał się tych opowiadań i więcej wam ich napisał, ale ksiądz Ludwik, nie wiem zresztą dlaczego, zakazał Mikołajowi «doreszty, jak mówił, mi głowy zawracać». Biedny ksiądz Ludwik, jako ksiądz i cichy mieszkaniak wioski, nie wiedział, po pierwsze, że każdemu młodzieńcowi, którego burza z cichego kąta rodzinnego na szeroką arenę życia wyrzuci, musi się nieraz głowa zawrócić, a powtóre, że nie starzy sładzy i ich opowiadania, ale zgoła kto inny głowę zawraca.

Zresztą, wpływ Mikołaja na nas nie mógł być szkodliwy, bo, przeciwnie, stary sam czuwał nad nami i nad naszym postępowaniem nader starannie i surowo. Był to człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu sumienny. Z czasów żołnierskich pozostał mu jeden bardzo piękny przymiot, to jest właśnie owa sumienność i dokładność w wypełnianiu rozkazów. Pamiętam, jednej zimy wilki poczęły u nas robić ogromne szkody i rozzuchwały się tak dalece, że nocą wchodziły po kilku kilkunastu do wsi. Ojciec, sam zawołany myśliwy,

pragnął wyprawić polowanie; że zaś chodziło mu o to, żeby nad obławą objął komendę sąsiad nasz, p. Ustrzycki, znany tępicieł wilków, napisał więc do niego list, potem zawołał Mikołaja i rzekł:

— Aрендarz jedzie do miasta, niech Mikołaj zabierze się z nim, niech wysiadzie po drodze w Ustrzycy i odda panu list. Tylko koniecznie przywieźć mi odpowiedź: bez odpowiedzi mi nie wracać.

Mikołaj wziął list, zabrał się z arendarzem i pojechał. Wieczorem arendarz wrócił: Mikołaja niema. Ojciec myślał, że może zanocował w Ustrzycy i że wróci nazajutrz razem z naszym sąsiadem. Tymczasem upływa dzień, Mikołaja niema; upływa drugi — niema; trzeci — niema. W domu lament. Ojciec w obawie, że może wilki napadły go w czasie powrotu, rozsyła ludzi. Szukają i nie mogą znaleźć ani śladu. Posyłają do Ustrzycy. W Ustrzycy powiadają, że był, pana nie znalazł, że się o niego wypytywał, gdzieby bawił; potem pożyczył od lokaja cztery ruble i poszedł niewiadomo dokąd. Zachodziliśmy w głowę, co to wszystko mogło znaczyć. Na drugi dzień wrócili poścążcy z innych wiosok z wiadomością, że nigdzie nic nie znaleźli. Jużemy tedy zaczęli go opłakiwać, aż tu szóstego dnia na wieczór ojciec właśnie wydawał dyspozycje w kancelarji: nagle słyszy za drzwiami wycieranie nóg, chrząkanie i mruczenie półgłosem, po którym natychmiast poznał Mikołaja.

Istotnie był to Mikołaj, przeziębnięty, wychudzony, zmęczony, z soplami lodu na wąsach, prawie do siebie niepodobny.

— Mikołaju, bójże się Boga! coś ty robił przez tyle czasu?

— Co robił, co robił — mruczy Mikołaj. — Co miałem robić? Nie zastałem pana w Ustrzycy, pojechałem do Bzina. W Bzinie powiedzieli mi, że się na licha zdało, bo pan Ustrzycki pojechał do Karolówki. Pojechałem i ja. W Karolówce już go takż nie było. Albo to mu niewola cudze kąty wygrzewać? Czy to on nie pan? Przecie piechotą nie chodzi. Dobrze mówię. Z Karolówki poszedłem do miasta, bo mówili, że pan w powiecie. A jemu co za sprawa w powiecie, czyto on wójt? Pojechał do gubernii. Miałem wracać, czy co? Poszedłem do gubernii i oddałem mu list.

— No i dał ci odpowiedź?

— Dał, nie dał. Jużci dał, tylko się naśmiał ze mnie, aż mu trzonowe zęby było widać. Pan twój, pada, prosił mnie na polo-

wanie na czwartek, a ty mi w niedzielę list, pada, oddajesz. Już, pada, po polowaniu. I znowu się śmiał. Oto jest list. Dlaczego się nie miał śmiać? Albo...

— I cóżeś ty jadł przez ten czas?

— To i cóż, że od wczoraj nie jadłem. Albo to ja tu głód cierpię. Albo to mi łyżki stawy żałują? Nie jadłem, to będę jadł...

Odtąd już nikt Mikołajowi nie wydawał bezwzględnych rozkazów, ale ile razy go gdzie wysyłano, zawsze mu mywiono, co ma robić na wypadek, gdyby kogo nie zastał w domu.

Jakoś w kilka miesięcy później pojechał Mikołaj na jarmark do pobliskiego miasta, za kupnem koni fornalskich, bo na koniach znał się doskonale. Wieczorem ekonom przyszedł powiedzieć, że Mikołaj wrócił, konie kupił, ale wrócił pobity i że wstydzi się pokazać. Ojciec poszedł natychmiast do niego.

— Co tobie jest, Mikołaju?

— Pobiłem się — odburknął krótko.

— Wstydź się stary. Burdy po jarmarku będziesz robił? Rozumu nie masz. Stary a głupi! Wiiesz ty, że innego wypędziłbym za taką sprawkę. Wstydź się. Musiałeś się upić. To ty mi psujesz ludzi, zamiast im dawać przykład.

Ojciec mój gniewał się istotnie, a gdy się gniewał, to nie żartował. Ale co było dziwne, że Mikołaj, który zwykle w takich razach nie zapominał języka w gębie, tym razem milczał jak pień. Widocznie stary zaciął się. Napróżno dopytywali go inni, jak i co to było? Odburknął się tylko jednemu i drugiemu i nie powiedział ani słowa.

Jednakowoż poturbowali go nie żartem. Nazajutrz rozchorował się tak, że potrzeba było posyłać po doktora. Doktor dopiero wyjaśnił całą sprawę. Przed tygodniem ojciec wyczubił był karbowego, który na drugi dzień uciekł. Udał się do niejakiego pana von Zoll, niemca, wielkiego nieprzyjaciela mego ojca, i przystał do niego na służbę. Na jarmarku znajdował się pan Zoll, nasz dawny karbowy i parobcy pana Zolla, którzy przygnali opasowe woły na sprzedaż. Pan Zoll pierwszy zobaczył Mikołaja, zbliżył się do jego wozu i począł na ojca wygadywać. Mikołaj nazwał go za to odmieńcem, a gdy pan Zoll dodał nową obelgę na ojca, Mikołaj zapłacił mu za nią biczyskiem. Wówczas karbowy wraz z parobkami Zolla rzucili się na niego i pobili go aż do krwi.

SPIS

Stary sługa	3
Janko Muzykant	16
Pójdźmy za nim!	23
Latarnik	52
Bartek zwycięzca	67